LUCYNKA

CZYLI

SZWEDZI NA LITWIE.

OPOWIADANIA HISTORYCZNE,

w 4-ch obrazkach

PRZEZ

WINCENTEGO DUNIN MARCINKIEWICZA.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM A. SYRKINA.

1861.

LUCYNKA

CZYLI

SZWEDZI NA LITWIE.

LUCYNKA

CZYLI

SZWEDZI NA LITWIE.

OPOWIADANIA HISTORYCZNE,

w 4-ch obrazkach

PRZEZ

WINCENTEGO DUNIN MARCINKIEWICZA.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM A. SYRKINA.

1861.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby egzemplarzy. Wilno, 26 Lipca 1860 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

JAŚNIE OŚWIĘCONEMU KSIĘCIU

STEFANOWI LUBOMIRSKIEMU,

MARSZAŁKOWI GUBERNIALNEMU
MOHYLEWSKIEMU,

W DOWÓD

wysokiego poważania, ten błahy utwór

ofiaruje

AUTOR.

JAŚNIE OŚWIECONY KSIĄŻĘ!

Gdy nabyłem maluczki mój folwarczek Lucynkę, przy obejrzeniu go, najpierwiéj zastanowiła mię w onym miejscowość; — starałem się przeto od starych, zażyłych tu ludzi wybadać, azali takowa nie kryje w sobie jakich historycznych pamiątek—i jednozgodnie mi opowiadano, że tam właśnie egzystował niegdyś przed wiekiem klasztor jezuicki, z przybytkiem bożym, że w czasie najścia Szwedów, za Karola XII, klasztor ten wspólnie z kościołem zamieniono w kupę gruzów; mnichów zaś umęczono za to jedynie, że nie chcieli wskazać miejsca, gdzie skarby kościelne zostały przez nich ukryte — a tak te skarby i dotąd jeszcze w ziemi gdzieś spoczywają.

Wysoce ceniąc wszystkie naszego kraju historyczne pamiątki, zachęciłem się jakoś może na biedę szanownego Czytelnika, z podań, takowych nieudolném mém piórem, usnuć następną powiastkę. A że Przodkowie Księcia przeważnie i zacnie dla dobra kraju działali, Jemu więc, jako godnemu ze wszech miar ich następcy, ośmielam się tę lichą moję ofiarować pracę, zwłaszcza, że w pielgrzymce mojéj po Białej Rusi, w gościnnéj Szczaurów zagrodzie, zacne grono obywateli jednogłośnie mi ukazało w Waszéj Książęcej Mości światłego badacza i lubownika narodowych pamiątek. Przymiéj więc, Panie, tę ofiarę, jako prawdziwy hołd oddany Jego chwalebnym dążnościom; a stokroć szczęśliwym się policzę, jeżeli ta przez Waszę Książęcą Mość nie zostanie odrzuconą.

W. M.

LUCYNKA (*)

CZYLI

SZWEDZI NA LITWIE.

PROLOG.

Boże! który rzuciłeś człowieka na ziemię,
Który w życia pielgrzymce szczęście i trosk brzemię
W udział mu przeznaczyłeś, wyganiając z raju,—
Czemu miłość gorącą rodzinnego kraju
Wlałeś mu w tęskną duszę? czemu na swéj niwie
I swobodnie zamarzy, i żyje szczęśliwie?

(*) Lucynka, — mały folwarczek. w Mińskiej gubernii i powiecie położony.

Wszakże zimno sybirskie dech tobie zamrozi,
Wszak upał równikowy śmiercią ci zagrozi,
A przenieś na brzeg Tybru kamczadalskie dziecię,
Lub każ Beduinowi żyć gdzieś w obcym świecie,
Obaczysz, że z tęsknoty po rodzinnéj skibie,
Każdego z nich niebawem sroga śmierć przydybie.

Wykwintne grody Franków,—raj niebo Romanów,
Wrzącą ci dają miłość dziewice Hiszpanów,
Na chwilkę zająć oko Helwetów dziedziny;
Popatrzysz! . . . i westchnienie do lubéj rodziny
Niechcąco jakoś leci, pierś tobie przytłacza:
Obcyś tam! . . wśród wesołych grasz rolę tułacza!—
O! pięknie na obczyźnie,—szczęsny tam lud boży,
Żyje pomarańczami, a depcze kwiat róży;—
Rozkoszny cień tam dają wzniosłych drzew konary,—
Wszakże miléj w zaciszu, gdzie mój domek stary!
Choć niewidny, choć strzecha mchem czasu upstrzona,
Ależ to chatka własna! jak matka rodzona.
Ot kiedy burze życia horyzont zamroczą,
Ona mię pod swe skrzydła przyjmuje ochoczo,—
Bolem nękana dusza szuka w niej spoczynku,
A zimą, w czas zamieci, marzeń przy kominku.
W tej to chatce dziateczki w wierze wychowałem,
Tu rozkosznych chwil życia nieraz używałem!

Domek stoi na górze,—leśne w koło pleśnie,
Za nim sadek, obfity i w grusze i w trześnie,—
Z ganku uderza oko piękny gaj z jedliny,
Na dwoje go rozdziela pas sinéj Lucyny,
Rzeczułki choć niewielkiej, lecz w ryby obfitéj,—
Przy niéj wytryska źródło wody smakowitéj;—
W lewo, rzekłbyś dywanem ściele się zielona
Łąka, gdzie niegdzie brzozką i kwieciem upstrzona,
Za nią z dala zobaczysz dwór niegdyś magnata,—
A w prawo, za jodłowym gajem stara chata
Ubogiego Doliwy, szlacheckiego rodu.
O nichto wam opowiem, com słyszał za młodu,—
A również o klasztorze następców Lojoli,
Których dzisiaj uprawiam skibę z bożej woli.

Kiedy badawczém okiem zajrzę do wądołu,
Gdzie niegdyś chwała boża, z klasztorem pospołu,
Pod niebo się wznosiła swojemi wieżyce,
I naukę Chrystusa w dal na okolice
Szeroko rozkrzewiała, — gdy liczę kamienie,
Które murów świątyni wiązały sklepienie,—
Kiedy przypadkiem stopa kość ludzką potrąci,
I kilko-wieczny pokój zmarłego zamąci,—
Kiedy ciekawe oko zajrzy w te sadzawki,
Co służyły do wygód mnichów, — ich zabawki,

Bogate w złotopióre karpie i karasie:—
Niechcąco myśl utonie w tym rozkosznym czasie,
W którym zbytek, obfitość znaczyły wiek błogi.
Niestety! dziś kawałek chleba jakże drogi?!
A to duma bogaczy, swawoli bezdroże,
Sprowadziły na głowy nasze gromy boże!!

OBRAZEK 1.

Drugi już wiek w połowie, jak wieść przekazana
Tradycyą, — za czasów najścia Sudermana,
Niedaleko klasztoru stał dwór okazały
Zamożnego starosty, który pełen chwały,
Od przodków znakomitych wywodził ród pański;
Zwano go, herbu Topór, Stanisław Bohdański.

On—jak bywało niegdyś czynili magnaci—
Nie skąpił darów bożych dla szlacheckiéj braci,
Wiele na dworze jego młodzi się chowało,
Wielu mu niezależny byt swój zawdzięczało.

Mężny, cnot—chrześcijańskich, słowem starej daty
Pan!—oddany ludzkości,—nie jak dziś magnaty,
(Nie mówię tu o wszyskich), hodując się w złocie,
Dusze brudzą sobkowstwem, serca kąpią w błocie!

Był wdowcem—i ze związku posiadał jedyny
Skarb w córce, która imię nosiła Lucyny;—
Urok, jaki rzucała krasą swą do koła,
Nieudolne me pióro czy też skreślić zdoła?

Kibić wiotka, toczona,—pomiernej urody,—
Barwą życia kwitnęły anielskie jagody,—
Oczęta lazurowe miecą błyskawice,
Których rażący ogień łagodzą źrenice,—
Ustka, rzekłbyś korale!—gdy błyśnie uśmiechem,
Lub kiedy głos z tych ustek zadrga srebrnem echem,
Niech serce twoje głazem, dusza lodem zionie,
W minucie serce, dusza uczuciem zapłonie!

A dołeczkiż na lica uśmiechem znęcone!
A rączkiż z alabastru, rzekłbyś utoczone!
A szyjkaż jej łabędzia! a stopka dziecinna!
A ten urok w obejściu, swawola niewinna,
Co wdzięki jej podnoszą!—O! umysł mój słaby,
By mógł jéj czarujące wysłowić powaby!—

Ej! szczęśliwie się wiodło w te dawniejsze lata:—
Litwa nasza kwitnęła, cnotami bogata,
Zamożnością, swobodą oddychał kraj cały!
Prawda, nasze prababki modnych ksiąg nie znały;—
Wychowane w prostocie, chrześcijanskiej wierze,
Uczyły swoje córki odmawiać pacierze,
Śpiewać pieśni z kantyczek, a czytać żywoty
Świętych Pańskich,—serca zaś ubogacać w cnoty.
W domach zamożnych panów francuzkie madamy
Nie wpajały obczyzny, nie wznosiły tamy
W sercach niewinnych dziatek miłości dla kraju,
Wyszydzać, co jest własne, nie było zwyczaju.
To też dziewki nie znały co Russy, Woltery,
Nie przyjmowały, jak dziś, obcéj maniery;

A również francuzczyzną lichą nie paplały,

Lecz mowy Kochanowskich z chlubą używałyi.

Bo też piękny nasz język!—Ot kiedy lirnicy,
O wdziękach modrookiej litewskiej dziewicy,
Rzewną zanucą piosnkę, w rymowanéj mowie,
Aż serce drga z rozkoszy, aż się mąci w głowie
Czytając gładkie wiersze!—Lub gdy bohaterski
Rym ci ucho połechce,—jak naród rycerski,
Któryś tam z wojowników, ot Kiejsztut, Jagiełło
Wiódł do zwycięstw—choć to już dawno przeminęło,
Choć kości ich od wieków spróchniały już w ziemi.
Czytając wszakże zda się, że obcujesz z niemi,—
Na wspomnienie ich czynów pierś mocniéj zabije,
Krew zawre, w duszy męstwo naddziadów ożyje!
No, powiedzcie! nie milszaż nam ojczysta mowa,
W której się wdzięcznie kreśli chluba narodowa?
Ach! czemuż piękna onéj z gruntu nie zbadamy?
Dla czego tych nieszczęsnych *parlów* używamy? !—

Otoż nasza Lucysia, pod domową strzechą,
Wzbogacała serduszko, z rodzica pociechą,
W pokorę, bojaźń bożą, chrześcijanskie cnoty,—
Do gospodarki, robot nabrała ochoty.
Bywało, w dzień majowy, zbudzona jutrzenka,
Gdy wesołym promieniem zajrzy do okienka,
Wnet ochocza dziewczyna z łóżeczka się zrywa,
I domową czeladkę do modlitwy wzywa,—
Tuż do ojczyka bieży, na dobry dzień żywo
Każe mu nieść polewkę lub też grzane piwo,
By pożywném śniadaniem zasilić starego:—
Bo też w dawniejszych czasach przysmaku chińskiego,
Ani palonych ziaren tureckich nie znali,
Choć często z Bisurmanem w polu się rąbali.

Gdy starosta ochoczo do jadła zasiada,
Ona srebrzystym głoskiem przed nim się spowiada
Z gospodarczych swych planów:—ot na jakiéj grzędzie
Ma zasadzić rozsadę,—gdzie też groch siać będzie;—

Tuż figlarnie się łasi, oczęta nań wznosi,
I pieszczonym swym głoskiem słodko, czule prosi,
By dozwolił bułanką pohasać spacerem.
Stary z początku gdéra, stawi się kozerem,—
Jednak zręcznie pieszczota tak go udobrucha,
Że w końcu starowina nie chcący jéj słucha.

Zjednawszy pozwolenie dobrego rodzica,
Dziewczę uradowane, szczęściem krasząc lica,
Biegnie z piosenką w ustach zajrzéć do stodoły:
Czy pilnie gospodarcze dojrzano żywioły?
Czy też dokładnie ojca rozkazy spełnione?
Póżniéj śpieszy odwiedzić ptastwo ulubione;
A pomnąc na przysłowie, które tak nas uczy,
Że pańskie oko konia najlepiéj utuczy,
Choć starosta niemało wiernych sług posiada,
Ona wszystkiém zarządza, wszędzie dojrzéć rada.
Póżniéj wraca do domu;—tam stoi u ganka,
Na rozkazy swéj pani, swawolna bułanka,—

Przy niéj stary koniuszy, szlachetny Doliwa,
Ochoczą do wyścigów panienkę wyzywa.

Mój Boże wszechmogący! gdzie też się podziały
Czasy patryarchalne? gdy magnat wspaniały
Jednał swych domowników szacunek prawdziwy,
Tak, że każdy z swym panem złączony ogniwy
Zobopólnej przyjaźni, nie skąpił żywota
Dla dobrego magnata,—nigdy też sromota
Niewdzięczności, w cnotliwych sercach nie powstała,
Chlubą dla domowników była panów chwała;—
Często od dziecka sługa na dworze poczciwy,
Miał na starość kęs chleba, albo skibę niwy.

Nasz staruszek Doliwa, chociaż mu siwizna
Na skroni śnieżnéj barwy, choć niejedna blizna
W interesie magnata doszła mu w udziale,
Choć go pan wynagrodził na starość wspaniale,

Gdy wierne służby uczcił szlachecką zagrodą;
Ale on, napojony staroświecką modą,
Chciał na dwornych usługach kresu swego dożyć,
Tamże stéraną trudem, wiekiem głowę złożyć.
Na grzędzie darowanéj rodzinę osadził,
Syna oddał do szkoły,—w gospodarce radził
Pracowitéj małżonce,—a w służbach gorliwy,
Pędzał ospałą czeladź staruszek poczciwy.

Otoż dziewczę do jazdy żywo się sposobi,
I zgrabnym gorsecikiem wiotką kibić zdobi,—
Tuż dosiada bułanki,—i hajże w zapasy
Z poczciwym starowiną!—okoliczne lasy,
Błonia w minucie zwiedza dziewczyna swawolna.
Stary, w trop lecąc, gdérze: z wolna, panno! z wolna!

Raz spacerem rumaków gdy dobrze zhasali,
Przed zagrodą Doliwy na chwilkę przystali.

Ten, pragnąc coś zalecić domowéj czeladzi,
Chwilowy odpoczynek panience doradzi,—
Zaprasza ją pod strzechę na szklaneczkę mléka,
Dowodzi, że z otwartém objęciem tam czeka
Piastunka lat dziecinnych, pani koniuszyna.
Z razu zda się przystawać, ale wiatr dziewczyna,
Natychmiast w pustéj główce tworząc inne plany,
Odpowie srebrnym głoskiem:—»Doliwo kochany!
Zajdź do domu,—ja tutaj pod lipą usiędę,
I w rozkosznym jéj cieniu dumać sobie będę.«—

Niepewny co ma począć staruszek,—lecz w chwili
Dziewczę go uspokaja, słodko się przymili,
Przyrzeka mu roztropność, wymową porusza,
I do zwiedzenia domku starowinę zmusza.

Ledwo też się pozbyła nużącéj opieki,
Już wzrokiem pożądliwym sięga w las daleki;—

W minucie plan stworzony—i w przystępie szału,
Bodźcem rączego konia zmusza do zapału.

Nie tak leci Beduin na arabskim koniu,
Gdy pędzi za zdobyczą po stepowém błoniu,—
I sokół też na czaplę nie tak chyżo wpada,
Jak dziewica na wyścig z wiatrami iść rada.
Ledwo dopadła lasu, już kresu dobiega,
Już z dala i wieżyce klasztorne postrzega.

W tém z lesistéj gęstwiny wypada spłoszony
Wilk, postrach gospodarzy, wściekły, rozjuszony,—
Wzrok ciska błyskawice, postrachem uderza,—
Z paszczą rozwartą prosto do dziewicy zmierza.

Zadrży szlachetny rumak,—przestrach go owionie,—
Skoczy w bok—i w sekundzie przez bezdroża, błonie,

Rzekłbyś w największym szale, miga lotem strzały;
Próżno dziewczę chce wstrzymać bieg jego zuchwały,
Próżno ściąga wędzidło,—o ratunek woła,—
Traci oddech ... pot zimny kroplami jéj z czoła
Rosi zamarłe lica, mrok zakrywa oczy,
I utraca przytomność;—gdy rumak przyskoczy
Do stromego wybrzeża spienionéj Lucyny...
Już zgonem ma się spłacić swawola dziewczyny,—
Kiedy silném ramieniem powstrzymany w biegu,
Stanął, jakoby posąg, u rzeczułki brzegu.
Młodzian hoży, ognisty,—istny typ Litwina,—
Wzrok sokoli, pierś mężna, bohaterska mina,—
Usta, rzekłbyś korale, włosem z wierzchu mszone,
A z tych małe wąsiki, do góry wzniesione,
Znaczą marsem łagodne młodzieńca oblicze,—
Oko w lazur oprawne, spojrzenie dziewicze,—
Ręka silna,—tą ręką powstrzymał szalone
Zwierzę—i zbawił dziewczę śmiercią zagrożone.

Omdlałą z ostrożnością na murawie składa,
Śledzi oznaki życia, oddechu w niéj bada,—
Leci na brzeg Lucyny, by zaczerpnąć wody,
Skrapia zamarłe czoło, pobladłe jagody.
I matka przy swém dziecku nie tak jest troskliwą,
Ile młodzian się krząta z przysługą życzliwą.

Rozwiera ociężałe powieki dziewczyna,—
Patrzy w koło z podziwem...w myśli przypomina
Wypadki, które omrok jej spowodowały,—
I myśl chyża nasuwa przed oczy jéj cały
Ogrom niebezpieczeństwa, na jaki, wietrznica!
Naraziła dni własne i spokój rodzica.
Oko jéj łzą zachodzi, a wdzięczne źrenice
Zwracając na wybawcę, wyciąga prawicę,
By uścisnąć dłoń mężną, co w porę przybyła
Na ratunek ginącéj.—Czarodziejska siła
Wdzięczności, taki urok nadaje spojrzeniu,
Że młodzian niém olśniony, stanął w osłupieniu;

Po raz piérwszy mu serce mocniéj uderzyło,
W duszy dotąd nieznane uczucie ożyło,—
Na twarz, odblask téj duszy, wystąpi rumieniec;—
Słowem w minucie traci przytomność młodzieniec:—
I ten, któryby wroga gromił niezlękniony,
Przez słabą białogłowę został ukorzony.

W minucie, filut dziewczę odgadło wrażenie,
Jakie w sercu młodzieńca zdziałało spojrzenie
Lazurowych jej cząt, wdzięk anielskiéj twarzy;—
A choć rumieniec wstydu mléczne lica żarzy,
Choć się w dwójnasób mocniéj wznosi pierś dziewicy,
Czulszém wszakże spojrzeniem ciska z pod źrenicy,
I uśmiechem rozkoszy ustka koralowe
Zdobiąc, do reszty mroczy zapaloną głowę.

»Komuż winnam me życie?—srebrym głoskiem pyta,—
Z jakiémże zawdzięczeniem rodzic mój powita,

W domu własnym, wybawcę jedynego dziecka!
Gdyby nie pomoc jego, jużby śmierć zdradziecka
Przecięła mi nić życia ledwo napoczętą.
Która w przyszłości wabi rozkoszy ponętą.
O!. Pan mię odprowadzisz pod domową strzechę,
Zechcesz uczynić ojcu i córce pociechę!«—

»Pani!—odrzekł nieśmiało młodzieniec w zachwycie,
Wdzięczność twa mię rumieni:—z rozkoszą me życie,
Na jedno twe skinienie poniósłbym w udziale!
A ty błahą usługę podnosisz wspaniale.
O miéj litość nademną! nie racz dzięk powtarzać,
Nie chciéj, łaskawa Pani, tak mię upokarzać.«—

Nie wiem jakiby obrót rozmowa młodzieży
Przyjęła,—gdy w tej chwili zlękniony nadbieży
Poczciwy nasz staruszek;—z czoła pot mu spływa,—
Z dala rozpacznym głosem panienkę przyzywa;—

A gdy śladem rumaka przez domysł wiedziony,
Przebiega lotem strzały lucyńskie zagony,
I nad brzeg stroméj rzeczki przypada struchlały,
Z podziwu, rzekłbyś posąg, staje oniemiały!
Widzi tu swoję zgubę w spokojnéj postawie,
Jak z dorodnym młodzieńcem rozmawia łaskawie,
A nie mogąc domysłów uszykować w głowie,
Marszczy brew' i do chłopca przemawia surowie:

»A cóż tu, *mój paneńku*, porabiasz w téj chwili?
Takichże cię *patrowie* moresów uczyli?
Gdy sądzę, że jegomość nad Alwarem ślęczy,
Lub z patrem, *mój panieńku*, retorykę męczy,-
On tu przy naszéj Pannie marnuje czas drogi.
Znaj, młokosie, że dla cię wysokie to progi!
Nie na tom oddał syna patrom na nauki,
By uczył białogłowy krasomówskiéj sztuki.«

Wtém szczery smiech dziewczęcia perorę przerywa,
I większém zmitrężeniem wybawcę okrywa;—
Lecz wkrótce wzrok do ziemi zniżając wstydliwy,
Dziewczę, pełne zapału, szorstką dłoń Doliwy
Ściskając w małych rączkach, przypadek swój głosi,
I przysługę młodzieńca pod niebo wynosi.

Rozchmurzy gniewne czoło poczciwy Doliwa,
Łza szczęścia na okryty szronem wąs mu spływa,—
A wznosząc myśl do Stwórcy, wdzięczne czoło zgina,
I czułemi wyrazy przemawia do syna:
—»Snać wysłuchały Nieba me *panenku* modły,
Gdy ciebie w tak stanowczą chwilę tu przywiodły.
Tyś siwy włos rodzica od hańby zachował,
Tyś mu przy chyłku życia spokojność darował!
Jabym sobie do grobu nie przebaczył wcale,
Że skarb mi powierzony nazbyt strzegł niedbale.
Wnoszę dziś, żeś pod szczęsną gwiazdą mi się zrodził,
Gdy tak świetnie błąd ojca w służbach wynagrodził.«

Tu w zbytku rozrzewnienia zamilkł starowina,
A do piersi zgrzybiałéj przyciskając syna,
Przypomni swéj panience o czasu upływie,
Że ojciec ją z obiadem czeka niecierpliwie.
Dziewica, wzrokiem serca rzuca na młodziana,
Żegna go,—i do domu wraca zadumana.

OBRAZEK 2.

Na dworze u starosty jakiś ruch i wrzawa!
Zwyczajna to dawniejszéj młodzieży zabawa:—
Tutaj dziarskich mołojców huf z hufem się ściera,—
Z szabelek iskry lecą;—tu znowu siekiera,
Wprawną rzucona dłonią, w powietrzu zawarczy,
I w sekundzie ugrzęźnie w samym środku tarczy;
Tu na wyścigi lecą bieguny rączemi,
Patrzysz! aż, jak makówki, po ubitéj ziemi,
Z bisurmańskich bałwanów; głowy się walają—
Tam dla wprawienia oka z gwintówek strzelają,

A wszystko to z zapałem, wszystko to ochotnie!
Jeśli który boleśnie przeciwnika dotnie,
Ani się waż narzekać! nawet nie zmarszcz czoła;
Bo niewieściuchem ciebie okrzyczą do koła.
To prawdziwie zaszczytna dla młodzi zabawa;
Z niéj moc kraju się wznosi i narodu sława!

No! powiedzcież mi proszę, dzisiejszéj młodzieży,
Drogi czas życia w jakiém zatrudnieniu bieży?
Ot powszechnie kursują modne preferanse,
Lub z krzywdą płci niewieściéj obmowy, romanse,
Rzadko ujrzysz, by który na koniku hasał,
Szabelka, to cud w domu! któżby ją przypasał
Do kusego paltota, lub modnego fraka?
Kontuszowych to mężów zaszczytna oznaka!

Na ganku stary wojak w bogatym żupanie,
Śledzi harce młodzieży, siedząc na tapczanie;

Każdy wytrysk odwagi oklaskiem zachęci,
Uśmiechnie się życzliwie, siwy wąs pokręci,—
W minucie marszczy czoło, gdy niezręczność widzi,
Niefortunnego wspólnie z drugimi wyszydzi.
Na twarzy jego świeci prawość i szczerota,
Nie kazi jéj cień dumy, obłudy sromota;—
Przeglądaj się w obliczu, jakby w czystéj wodzie,
Ujrzysz cnotliwe serce przy duszy pogodzie.

Obok, tuż nad stolikiem, siedzi pochylona,
Znajoma nam Lucysia, w dumach zatopiona.
Ni ją bawi hułanka rycerskiego koła,
Huk strzałów tęsknych dumań nie spędzi z jéj czoła;
Często wzrok niecierpliwy ciska w lasu strony,
Z których wieże klasztorne rzekłbyś z pod zasłony,
Jakby słońca promienie, z po za chmur się bielą,
Strudzonego wędrowca spoczynkiem weselą.

W tém na licach dziewczęcia rumieniec uderzy,
Oko błyśnie radością!—widzi dwóch rycerzy,
Którzy wązką drożyną pędząc od klasztoru,
Na dzielnych koniach prosto zmierzają do dworu.
Już przypadli do bramy, gdzie herbowne znaki,
I do srebrnego kolca wiążą swe rumaki,—
A sprawiwszy odzieże, pod ganek zmierzają,
I przed obliczem starca pokornie stawają.

Starszy—to nasz znajomy, poczciwy Doliwa!
Onto, na rozkaz pana, z synem swym przybywa,
By opiece magnata powierzyć swe dziecko,
I ustalić mu dolę poczciwą, szlachecką!

—»Dziękuję ci, młodzieńcze, że skory w wyborze,
Chcesz zastąpić rodzica w służbach na mym dworze.
Pół wieku w mych usługach, przy pracy i znoju
Przebywszy, czas mu użyć błogiego pokoju,

On mi był przyjacielem w dobréj i złéj doli:
Niejedną łyżkę barszczu, niejeden krom soli
Spożyliśmy w obozach wspólnie, bijąc wroga,
Nieraz z blizka zajrzała śmierć nam w oczy sroga;
Nieraz on, jak niedawno ty, drogie me dziecię,
Walcząc przy boku moim, uratował życie.
Komuż dzisiaj zaufam? kto mi przyjaciela
Godniéj zastąpić może, przy schyłku niewiela
Dni, które mi należą,—jeśli nie poczciwy
Syn towarzysza broni, starego Doliwy?«—

Tak przemawiał starosta; łzą zaszła źrenica
Niechcąco mu znaczyła pomarszczone lica;—
A stary, wierne służby zalecając syna,
Z płaczem dobremu panu do kolan się zgina.
Dziewczę zaś,—gdyby na nię spojrzał kto z poblizka,
Widziałby skrę uczucia, co z jéj oczu błyska,
Ujrzał jak z pod lekkiego rąbka pierś się wznosi,
Niepokój w duszy czystéj, w sercu burzę głosi.

Wtém starosta wąs siwy utrze pokryjomu,
I z pośród licznéj służby zwie marszałka domu:
—»Hola! Panie Anzgary,—na chwilkę tu proszę!
Oto mi przyjaciele uchodzą po troszo.
Towarzysz nasz Doliwa, pragnąc odpoczynku,
Trudem stérane siły przy własnym kominku
I przy boku poczciwéj Hanny swéj przepędzić,
Coś rozpoczął dziwaczyć i ciągle mi zrzędzić,
Ażebym go uwolnił na domowe leże,—
Życzy na własnéj grzędzie odmawiać pacierze.
Jednak o moje dobro troskliwy bez miary,
W synie zastępcę swego przeznacza mi stary.
Niech więc, proszę Asana, stajnia, wszystkie cugi
Przejdą pod jego zarząd,—a wierne me sługi
Niech odtąd, towarzysza w nim miłego znają,
I, jak ojca, niech syna szacują, kochają:—
Bo też wart tego młodzian,—wszakże i wy wiecie,
Że on mi uratował jedyne me dziecię.«—

—»Stanie się wola Pańska,—rozkaz twój nam święty;
Lecz z dawna, *Mości-rdzieju*, zwyczaj tu przyjęty,
Że gdy się nowicyusz w grono sług twych wpisze,
Musi odbyć egzamen między towarzysze.
Ot hartowną szabelką czy poczciwie włada?
Czy raźnie, *Mości-rdzieju*, konika dosiada?
Czyli trafne ma oko».—

—»A cóż to, *panenku!*
Nie krewże to Doliwów? Wszak nieraz na pieńku
Wprawiałem jedynaka do rycerskiéj sztuki.
Niechaj tu wnet przywiodą stajenne hajduki
Tatarskiego bachmata, który z ręki Hana,
Dostał się w podarunku dla jasnego pana.
Wychowaniec stepowy dziki i swawolny,
Nikt go jeszcze, *panenku*, dosiąść nie był zdolny:—
Otoż syn mój ugłaska to dziecię pustyni,
I na pańskie usługi powolném uczyni.«—

Tu na znak pana starzec silnie w dłoń uderzy,
I w minucie przed ganek czterech masztalerzy
Z trudem rozhukanego wiodą stepu syna;
Z oczu mu iskry lecą,—sroży się i wspina,
Rozgniewany, że obca przemoc go uciska,
Gryzie twarde wędzidło, pianą w koło pryska.

Młodzieniec pełen ognia, rycerskiéj ochoty,
Zarzuci na ramiona kontusza wyloty,
Ściśnie pas srebrem tkany,—i w udatnym szyku,
Skłoni się przed starostą,—staje przy koniku,
Jeszcze raz w stronę ganku spogląda nieśmiało,—
I radością mu serce młodzieńcze zagrało,
Oko błysnęło dumą, gdy w modréj źrenicy
Ujrzał dla się współczucie nadobnéj dziewicy.
Orlém do koła widzów spojrzeniem osoczy,
I nie tknąwszy strzemienia, na rumaka wskoczy.

Zdziwi się syn stepowy zuchwałości jeźdźca,
Pragnąłby krępujące munsztuka żelezca
W jednéj chwili pokruszyć, zrzucić nieścierpiany
Ciężar, który go tłoczy, jak więźnia kajdany:—
Wspina się, to znów wierzga, rzuca w różne strony;—
Młodzian ani się wzruszy, rzekłbyś przyklejony,
Tylko konfederatkę na głowie poprawi,
Ściągnie twarde wędzidło, aż się piana krwawi.

Rumak widząc w swym jeźdźcu godnego szermierza,
Ostatnim go fortelem pokonać zamierza:—
Natęża wszystkie siły, do ziemi przysiada,
I lotem strzały w chwili za bramę wypada.

Zbladło nadobne dziewczę, pierś ścięła się lodem,
Łza, perła Uryanu, błysła w oku młodém,
Na ustka pobielałe przywołaćby rada
Uśmiech wiary, lecz próżno! boleść tam osiada.

Strach dziewczęcia zarazi zgromadzenie całe,
Każdy wiedzie za bramę spojrzenie nieśmiałe:—
Ot rzekłbyś oniemieli, cisza tam grobowa,
Jeden tylko Doliwa obojętność chowa,
Z lodowatéj źrenicy duma mu junaczy,
Wąsem zjeżone usta szyderstwem oznaczy.

Nie uszło i kwadransa—aż z dala obłoki
Kurzu widać po drodze,—patrzaj—tam w podskoki,
Na spienionym bachmacie, dziarski młodzian sadzi,
Powolnego rumaka pod ganek prowadzi,
Staje tuż przy dziewicy, skłoni się nieśmiało,
I jednostajne brawo do koła zabrzmiało.
Lecz jakież uwielbienie w obliczach zaświeci,
Gdy młodzian lotem ptaka dziedziniec obleci,
W najżywszym biegu konia, w środek tarczy strzeli;—
Rozległ się huczny oklask,—rzekłbyś poszaleli.

Stan duszy wypowiedzieć dziewczęcia dokładnie
Ja nie widzę potrzeby,—każdy z was odgadnie:—
Zkąd się wzięły kolory? zkąd ten głos donośny
Na pochwałę rycerza?—zwłaszcza gdy radośny
Starosta, wąs musnąwszy, młodziana przyzowie,
Do serca go przyciśnie, dumę swą wypowie,
Że takiego rycerza dwór jego posiada;—
Onaby swe współczucie dla młodzieńca rada
Głosić całemu światu, skrytą myśl wygadać,
Co się dzieje w serduszku, przed każdym spowiadać.

Wtém zbliża się marszałek dworu pan Anzgary,
Skłoni się przed starostą, podniesie głos stary:
»Pięknie, rzecze, iż chłopiec nie wzrósł u talerza;
Lecz czy wszystkie znamiona posiada rycerza?
Jak też włada szabelką? Próbę niech ostatnią
Odbędzie, *Mości-rdzieju,*—niech się z dłonią bratnią
Zmierzy krzyżową sztuką,—niech z młodzieży koła
Godnego przeciwnika dla siebie wywoła.«

»Zgoda, *panenku!* i ta próba go nie minie;
Że czysta krew' Doliwów w nim, *panenku*, płynie,
Przekona on tu wszystkich;—ale przeciwnika
Ja dla niego wybiorę: syn mój nie unika
Rozprawy z najdzielniejszym, *panenku*, szemierzem,
Ot choćby i z rotmistrzem, panem Kazimierzem.«

A trzeba wiedzieć państwu, że Kazimiérz Szczuka
To rębacz zawołany! krzyżowa mu sztuka
Znajoma, jak nam dzisiaj codzienne pacierze.
On na sejmikach w kole szlacheckiém prym bierze;
Rodacy go szanują, wrogi się go boją,
Gdy mu stal w ręku błyśnie kroku nie dostoją
Choćby najodważniejsi. Hartowna szablica
Znana nieprzyjaciołom pod nazwą kosica;
Oj! dzielnie też kosiła ona łby tatarskie!
Drżały przed jéj połyskiem hufce bisurmańskie;—
Gdzie tylko mignie rotmistrz, patrz! już wrogów tłuszcza,
Rzekłbyś pierzchliwe stado, płac boju opuszcza.

Wysunie się z gromady wojak zadumany,
Nierad, że do zapasów z dzieciuchem wyzwany,
Zadziwia go zuchwałość młodego szermierza,
Którą przykładnie w walce ukarać zamierza.
»Do stu bąb i granatów! wykrzyknie, młokosie!
Strzeż się! bo cię porządnie obetnę po nosie!
Zanadtoś bratku dumny i zarozumiały,
Doznasz, co to wojownik w bojach osiwiały!«

»Wszakże nie ja—odpowie młodzieniec z zapałem—
Do rozprawy na szable rotmistrza wyzwałem;—
Niesprawiedliwie, panie, na mnieś tak zawzięty:
Rozkaz to był rodzica,—a ten dla mnie święty!
Przechwałki nie przystoją wcale dla rycerza:
Jam gotów już do walki, niech rotmistrz uderza!«

Tu obaj przeciwnicy w szermierskim zapasie,
Rzekłbyś nieprzyjaciele, uderzają na się.

Pierwszego oburzona duma wskroś przenika,
Chciałby w jednéj sekundzie wproch zetrzéć młodzika.
Drugi w oczach kochanki pragnie wznieść się męstwem,
Zaufanie rodzica nagrodzić zwycięstwem.
Ciekawi widze w obu namiętności burzą.
Uderzają, jak wściekli, aż się głowy kurzą!

Poznał rotmistrz, że trudna będzie tu rozprawa,
Że jego ustalona od tak dawna sława,
Przez jednego młodzika może bydź wydartą:—
Podwaja więc swe razy, z wściekłością zażartą.
Drżą wszyscy, to już nie żart, lecz walka prawdziwa,—
Niemal przytomność traci dziewica lękliwa.

Niczém bójka Hektora z mężnym Achillesem,
Runęłaby tu sława Bajarda z kretesem,
Zdumiałby się Zawisza, bohatér Polaków,
Licząc tak dzielne razy zawziętych wojaków!

Widzi rotmistrz, że młodzian z lichwą cięcia zwraca,
W gniewie przeto do reszty przytomność utraca,
Wszystkie siły wytęża, strasznym ciosem grozi,—
Paniczny w koło przestrach widzom serca mrozi;—
Lecz dzielnie się zasłania młodzieniec waleczny,
Krokiem wstecz się nie cofnie,—jakby dąb odwieczny!
Sokolém okiem śledzi swego przeciwnika,
Najskrytsze jego myśli, zamiary przenika,
A niwecząc takowe, czeka zręcznéj chwili,
Azali napastnika w obrótach nie zmyli?
Jakoż tak strategicznie plany swe zamąca,
Że oręż z silnéj dłoni zręcznie mu wytrąca.

Nie z takim naród witał zapałem Chrobrego,
Nie z takiém uwielbieniem spotkał Batorego,
Kiedy waleczne hufce pod domową strzechę
Wiedli na odpoczynek;—nie taką uciechę
Sprawiła narodowi pod Wiedniem wygrana,
Jaką widzom zwycięstwo dzielnego młodziana.

Każdy śpieszy uścisnąć tak silną prawicę,
Z podziwem oglądają hartowną szablicę;
A nawet rotmistrz Szczuka, jak mężnym przystoi,
Z niefortunnéj mu walki smutek swój ukoi,
I pospołu z innymi hołd zwycięzcy składa,
Wieczną przyjaźń, szacunek swój dłań zapowiada.

»Gdyś tak młodo, wyrzeknie, dzielnym już rycerzem,
Niech dzień ten między nami dozgonném przymierzem
Uświęci się w obliczu przytomnych tu braci.
Ja składam me dowództwo,—a pewno nie straci
Na zamianie dowódcy hufiec wojowniczy:
Niech śród nas najdzielniejszy władzę odziedziczy.«

Tu zacnego rotmistrza młodzieniec uściśnie,
I rumieniec skromności na twarz mu wytryśnie,
Gdy rzeknie dźwięcznym głosem:—»Ja przewodzić znakiem
Nigdy się nie odważę! pod takim wojakiem

Miło mi będzie służyć w ojczyzny potrzebie.
Żem dzisiaj prym otrzymał,—jak Bóg jest na niebie!
Przypadkowi zawdzięczam, nie mocy mėj ręki,
Za co też Najwyższemu składam korne dzięki.«

Szlachetnością walczących, śród współbraci koła,
Ucieszony starosta, przed siebie zawoła,
I następnie rozstrzygnie spory mężów prawych:
»Słuchaj panie rotmistrzu!kiedy w walkach krwawych
Nieraz już doświadczyły wrogi twojėj stali,
Przewódź więc, tak jak dotąd, mężnym hufcom dalėj;—
W nagrodę zaś, z rąk twoich młodzian pełen męstwa
Niech otrzyma chorągiew', jako znak zwycięstwa!«

Przepełnione rozkosznėm uczuciem nad siły,
Nie mogąc go potłumić, podniesie głos miły
Dziewczę uradowane, przerwie ojca mowę,
I taką swym wyrazom ułoży osnowę:

»Panie! gdym tobie życie moje zawdzięczała,
Jużem dla cię szacunek w duszy méj chowała;
Lecz dzisiaj, gdy cię widzę z mężnych najmężniejszym,
Kiedyś zwycięsko stanął w walce z najdzielniejszym
Przywodcą naszych hufców,—przyjm oklask dziewiczy!
Niech ci w bojach szczęśliwa gwiazda przewodniczy.
Podnoś dzielne swe ramię na kraju obronę,
Niech słaby pod opieką twoją ma ochronę,
Niechaj wróg siły twoje w potyczkach uczuje;—
Ja cię z chlubą rycerzem moim dziś mianuję!
A jako w starożytnych wyczytałam dziejach,
Gdy wojownik zwycięsko wyjdzie na turniejach,
W nagrodę dar wspaniały otrzyma w udziale
Z rąk wybranéj królowéj:—niech więc w ideale
Ziści się dawny obrzęd,—ot! pełna pokory,
Dziewica ofiaruje tobie swe kolory!
Nie gardź tak błahym darem! Obym, w każdéj dobie
Znak mojego szacunku ujrzała przy tobie!«

Uradowany młodzian kolana swe zgina,
Nadobna zaś dziewica z uwdziękiem przypina,
Zarzuciwszy na barki, szarfę złotem tkaną,
Koloru niewinności,—czystą, nieskalaną,
Jak jéj myśli niewinne, jak serce dziewicze.—
Zaduma owionęła starosty oblicze. . .

OBRAZEK 3.

W komnatach starościńskich tłum gości zalega,—
W koło trwożne poszepty,—cichy gwar obiega
O najściu Sudermana na polską ziemicę;—
Wszyscy rokują w kraju straszną nawalnicę.
Zbiegły się do sąsiada powiatu filary,
Radzić o dobru kraju, o obronie wiary.

Zjawili się i tacy, którzy z wielkim panem
Kazimierzem Sapiehą litewskim hetmanem,
Wspólnego interesu ogniwy związani,
Dla dumnego magnata poświęcili w dani

Miłość swą dla ojczyzny, honor i sumienie:
Ot i tacy przybyli, co chude kieszenie
W zamieszkach się krajowych wypychać starali,
Ci hojniejszym magnatom służby sprzedawali:—
Bo i wówczas, jak dzisiaj, możnych duma, siła,
Nieraz kraj nieszczęśliwy srodze utrapiła.

Dygnitarze powiatu, z głową ubieloną,
Odbywają narady de publico bono;—
Niejeden ze swém zdaniem sąsiada oblega,
A tu puhar z węgrzynem do koła obiega,—
Bo nasi praojcowie najważniejsze sprawy
Rozstrzygali najczęściej śród uczt i zabawy.

Wtém stary podkomorzy, lumen powiatowy,—
(Na nim żupan z atłasu, kontusz sajetowy,
Pas szeroko w desenie złotem przetykany,
Na nogach połyskują żółte safiany,

Karabela misternie w jaszczur oprawiona,
Wąs suty mlécznéj barwy, głowa podgolona),—
Zagai posiedzenie w wyszukanéj mowie:—
»Wielce mi miłościwi bracia i panowie!
Srogo dziś Bóg doświadcza mężne Lecha plemię;—
Oto już czas niemały ojców naszych ziemię
Sudermańczyk zuchwały depcze, poniewiera,
I pożogą nawiedza, z dostatków odziera,—
I odwieczne wolnego ludu niszcząc prawa,
Narzuca nam nowego króla Stanisława.
Nie ganię Leszczyńskiego,—on urósł w kontuszu,
Pan wspaniały, cnot pięknych, słynie z animuszu;—
Ależ to świętokradztwo przysięgą szafować,
Gdy mamy pomazańca, nowemu hołdować.
Ja doradzam Augusta utrzymać na tronie,
Mienie, życie poświęcić w praw jego obronie!«—

»Hola, hola Mosanie! nie pozwalam na to!
Wiem, że pan podkomorzy rządzić się prywatą

Nie zwykł, kiedy na względzie ma dobro ojczyzny;
Świadczą jego gorliwość te chwalebne blizny!
Lecz niech jaśnie wielmożny pan raczy przebaczyć,
Że jego sąd tu mylny,—chcę się wytłómaczyć.
Ot, gdy po nieszczęśliwym dla nas Jana zgonie
Los Augusta drugiego osadził na tronie,
Jakież było królestwo? czyż nasze swobody
Nie były szanowane przez obce narody?
Czyliż Lech z Litwą, Rusią braterstwem złączony,
Przed nawałem pogaństwa z piersi swych zasłony
Nie stawiał, by powstrzymać Księżyca zabory?
Czyż bronić chrześicjaństwa nie był zawsze skory?
A teraz—strach pomyśleć!—kiedy Sas panuje,
Jakież poszanowanie u obcych znajduje
Naród niegdyś potężny, dziś słaby za katy?
Nie tak Mosanie było za Jana przed laty!
Nie plondrowali kraju obcéj ziemi władce,
Praw nam nie narzucali królewscy doradce:
Swój pan, swoich też ziomków rad służby nagradzać,
Nie chciał do kraju obcych narowów wprowadzać,

Narowów, które naród, pełen cnot, prawości,
Skażeniem obyczajów, wiodą do nicości.
Ja myślę, że król rodak dźwignie nas z niedoli,
I dokazywać w kraju obcym nie dozwoli;
Dla nas on nie ojczymem, lecz ojcem się stanie:—
Niech żyje król Stanisław!—oto moje zdanie!«
Tak dowodzi podczaszy, kręcąc wąsy płowe,
I spełnieniem kielicha potwierdza swą mowę.

Na takie argumenta, z miejsca się podnosi,
Oburzony gospodarz, wszystkich o głos prosi,
I takiemi wyrazy przemawia do braci:
»Że Sas dziś nam panuje, w czémże tu kraj traci?
Nie przez rząd obcych królów on się poniewiera,
Duma-to naszych panów zgubę mu otwiera.
Byle magnat, liczy się do rządów stworzony,
Każdy widzi się godnym berła i korony:—
Ztąd partye przeciwne, bezład się gromadzi,
A król, nie mając władzy, czyż złemu zaradzi?

I nasz rodak, Jan trzeci, obrońca Cesarstwa,
Srogi bicz dla pohańców, zbawca chrześcijaństwa,
Stérawszy własne siły dla dobra narodu,
Narzekać na niewdzięczność czyż nie miał powodu?
Nie, panowie! król rodak niech najlepsze chęci,
Niech dla dobra ojczyzny i życie poświęci,
Zawsze duma magnatów rządy mu skrzyżuje:
Niejeden rzeknie, czemu on, nie ja, króluje?
Wybaczy mi podczaszy,—oto zdanie moje:
Szacuję Leszczyńskiego,—przy Auguście stoję!«

Tu do koła szły zdania, choć w sprzecznéj osnowie,
A gdy ci Leszczyńskiego, tamci Sas i zdrowie,
Chcąc wzmocnić swe dowody, spełniali puharem,
Narady, dotąd ciche, szły już głośnym swarem.
Bo gdy krew' się rozgrzała przez częste wiwaty,
Zawsze spór rozstrzygali szabelką współbraty:—
I tak gwarno, tak szumno w sali się zrobiło,
Że na wojnę nielada tam się zanosiło!

Wtém prowincjał zakonu wyznawców Lojoli,
Chcąc powstrzymać krwi rozlew, zapobiedz swawoli,
Powstaje z swego miejsca, krzyżem czoło znaczy,
I grzmiącym głosem woła do siebie słuchaczy:
»Gdzież jestem, o moj Boże! czy wśród bisurmanów?
Czy w zacném zgromadzeniu chrześcijańskich panów?
Także się naradzacie de publico bono?
Dźwigniecież tym sposobem Polskę utrapioną?
Każdy pragnie swe zdanie drugiemu narzucić,
Tymczasem Sudermańczyk nie przestaje kłócić
Spokoju biednéj ziemi, pożogi rozszerzać,
W bezbronnéj chacie kmiotka rozbojów domierzać.
A wy się tu kłócicie, gdy może w téj chwili,
Osierociałe dziecię próżno gdzieś tam kwili,
Wzywając swych współbraci, by krwi ojca, matki
Pomścili się na wrogu,—wydarli dostatki,
Poczciwą pracą ojców w pocie uzbierane,
A przez chciwość przybyszów obcych rozszarpane!
Wy się tutaj kłócicie, pragnąc króla zdradzić,
Drugiego pomazańca na tronie osadzić;

Niebaczni! ktoż wam nadał moc przysięgę łamać
I nowemu królowi czelnie wiarę kłamać?
Myślicie—w téj imprezie Bóg wam dopomoże;
Wierzcie mi, że na mylne weszliście bezdroże!
Błądzi ten, kto Karola gwiaździe zbyt dowierza:
Ma on niebezpiecznego dla siebie szermierza!
Gdy ten wspólnie z Augustem zwalczy Sudermana,
Powiedzcież, jakiém czołem powitacie pana,
Którego dziś w nieszczęściu haniebnie zdradzacie?
Jaką na przyszłość wiary swéj rękojmię dacie?
Mojém zdaniem, kto prawy, kto Boga się boi,
Ten do końca przy boku Augusta dostoi!
Co do mnie, gospodarza światłe zdanie dzielę,
I panom braciom radę podać się ośmielę:—
By klasztor nasz w broń palną mocno opatrzyli;
By rzucając prywatę, w jedno się skupili,—
I tak główną kwaterę mając uzbrojoną,
Pod opieką Maryi, pod armat osłoną,
Najeźdźcy, co przemocą kraj nasz niszczy, pali,
Przez nieustanne harce spoczynku nie dali;—

A gdyby się ośmielił świątynię szturmować,
Bronić się do ostatka, życia nie folgować!«

Tak przemawiał mąż święty,—pogodne mu czoło
Niebiańską aureolą jaśniało w około;
W twarzy pełnéj dobroci cierpienia wyryte,
Z oka, jak krople rosy, sypał łzy obfite;—
Broda mu, włos na głowie, wiekiem ubielone,
Na skroni zda się nosić męczeńską koronę.
I—o dziwo!—głos męża, co przemawiał z duszy,
Najzaciętszych szemierzy rozrzewni i skruszy:—
Ustał swar,—rzekłbyś bracia, wszyscy się ściskali,
Wszyscy święcie praw Sasa bronić przyrzekali.

Aż tu, na znak starosty, marszałek Anzgary
Dał hasło—i od huku strzęsły się filary:—
Sto różnych instrumentów tnie zgodnemi tony
Polski tan,—Narodowy!—wszystkim ulubiony!—

Każdy z przytomnych krokiem posuwistym sadzi
Do komnat, gdzie płeć piękna rozmowę prowadzi;
Na czele sam gospodarz, obok podkomorzy,
Raczą się grzecznościami, każdy z nich się droży,
Kto do salonu niewiast krok piérwszy uczyni?
Wreszcie gość dał się ująć—i do gospodyni,
Do nadobnéj Lucysi posuwa się śmiały;
Za nimi inne pary w porządku stawały;—
I ruszą do komnaty, gdzie uczta wspaniała
Przybyłych na narady gościnnie witała!

Mój Boże wszechmogący! Boże mój jedyny!
Dla czegoż dziś odrodne od swych ojców syny?
Dawniéj bywało z ucztą gdy magnat wystąpi,
Z hojnością darów bożych gościowi nie skąpi,
I jednako serdecznie uraczy nędzarza,
Jak pana, jak równego sobie dygnitarza.
A dziś—przybądź do Jaśnie, co to niewart może
Koniuszować u dawnych magnatów na dworze,

Jakże przyjmie współbrata,—od siebie wyższego
Cnotą, sercem, rozumem,—ale uboższego?
Wytrzyma w przedpokoju całe dwie godziny,
Aż górno cię powita, nastroiwszy miny;—
I jeśliś mu potrzebny, łaskę ci uczyni,
Gdy przedstawi rodzinie, domu gospodyni,
I u szarego końca posadzi do stołu,
I kieliszek gorzałki wypije pospołu;—
Gdy zaś pragnie u ciebie zaciągnąć pożyczkę,
Nawet w uśmiech przyjazny ustroi twarzyczkę.
Biednyś! gdy w nim współczucia szukasz swéj niedoli
Myślisz, że twoja nędza choć trochę go boli?
Nie, bratku! gdybyś konał, sknerą ci się stawi,
Odmawiając pomocy, z pogardą odprawi.

Lecz, bym ogólnie wszystkich sądził, broń mię Boże!
Wszakże między kolcami kwitną piękne róże;—
Są i dzisiaj, jak dawniéj, poczciwi magnaci,
A którzy bez różnicy kochają współbraci,

Czy baiedka w sukmanie, czy sobie równego,
Oni jednakiém sercem przyjmują każdego:—
Tylkoż ci, jak fenomen, rzadko gdzieś tam płoną,
W pośród dnia szukaj takich z świécą zapaloną!

Ale wróćmy do rzeczy. Oto po wieczerzy,
Na znak marszałka znowu kapela uderzy;
I młódź dziarska ochoczo do niewiast poskoczy,
Parami w polonezie do salonu kroczy,
Gdzie przeszedłszy dwa koła, lokuje swe damy,
I do żywszych już skoków przezwycięża tamy.
A tymczasem przy stole poważne Sarmaty,
Podnoszą—*kochajmy się!*—serdeczne wiwaty.

W narodowym mazurze dobranéj czeredzie,
Nasza piękna Lucysia ochoczo rej wiedzie.
Na głowie ma zatknięty bukiet rozmarynu,
Ustrojona w kabacik z cienkiego muślinu,

Spodniczkę jéj z korunek okola falbana,
Grubo ciągniętém złotem w koło przetykana,—
Kontusik szafirowy, zgrabniutko uszyty,
Tyftykiem kraśnéj barwy misternie podbity,—
Ciżmy z atłasu, zdobne w złociste desenie,
Tak małe, że w przytomnych budzą uwielbienie!

Obok pięknéj dziewicy chorąży Doliwa,
Zda się do walki w tanach dziarską młódź wyzywa!
Żupan ma z gradyturu,—kontusz z aksamitu,
Tehinowe obówie, pięknego błękitu.
A gdy przewodząc w tanie, huknie do kapeli:
Hu, ha! grajże no raźniéj!—i przypiewkiem strzeli,
Ot choćby tobie duszę gniotły troski krwawe,
Wnet rozpędzisz tęsknotę,—podzielisz zabawę!

Czemuż dzisiejsze tany od przeszłych są różne?
Teraz w modnych kadrylach suną tak ostrożne

Kroki taneczne pary,—rzekłbyś mary senne,
Zda ci się, że pudowym ciężarem brzemienne.
A dawniéj, w narodowym wesoło i butnie!
Ot w mazurze hołubca dziarska młodź gdy utnie,
Ujrzysz, jako meteor, błyskające w sali
Skry, suto wydobyte z podkówek ze stali,
Że w najzimniejszéj duszy stopnieją i lody,
Gdy śledzisz ruchy pełne życia i swobody!

Raźnie idzie krakowiak!—młodzian zbyt szczęśliwy
Z czarującą Lucysią tworzy cuda, dziwy!
Pierś mu błogo się wznosi,—iskrzy się źrenica,
Gdy nań figlarném strzeli spojrzeniem dziewica;—
Kiedy zaś wiotką kibić okoli ramiony,
I ujmie dłoń jéj mleczną—szczęściem swém olśniony,
Nie mogąc stłumić uczuć, przed kapelą staje,
Tupnięciem miarę taktu do śpiewu podaje,
I stosownym przypiewkiem, wznosząc głos nieśmiały,
Daje poznać dziewicy serdeczne zapały:—

»Jam prostaczek, Krakowiaczek,
»Umiem Boga chwalić,
»Kiéj czas służy, do méj róży
»Koperczaki smalić!
»W biedziem stałyi wytrwały,
«Pana kocham szczerze!
»Tnę hopaka, gdy się jaka
»Pohulanka zbierze!«

Zrozumie go Lucysia,—a nie chcąc zasmucić,
Stosowną mu odpowiedź tkliwie pocznie nócić:—
«Jam dziewczyna, jak malina!
»Chłopcy za mną rojem!
»Choć mię matka na klucz zamknie,
»Ja do nich przebojem.
»Alem Janka za kochanka
»Już sobie wybrała,—
»Wybaczajcie mi, panowie,
»Jemu będę stała!«

Zwyczajny to przypiewek u krakowskich kmieci,
Lecz czemuż on kochankom wprost do serca leci?
Dla czego taka mowa przez nich zrozumianą?
Bo dawniéj jawnie uczuć wysłowić nie śmiano,
Mężczyźni byli skromni,—wstyd znały dziewice,—
Losem dzieci najczęściéj rządzili rodzice;—
A wszakże stadła żyły szczęśliwie i błogo,
Gdy czciły dawców życia, szły prawości drogą!

Tak się do dnia ciągnęły ochota i tany.
Niejeden tam przez dziewcząt z młodzieży wybrany,
Poprzysiągł swéj bohdance miłość aż do grobu,
Bo dawniéj kłamać uczuć nie znali sposobu,
Nie wpływały rachuby na serca młodzieży,
Kiedy się pokochało, to już jak należy!
Dochowano przysięgi do grobowéj deski;
Uczucia były czczone, jako dar niebieski!

A tymczasem kielichem starzy się raczyli,
I z rozwagą o dobru ojczyzny radzili;
Wreszcie wspólnemi głosy w kole wykrzyknięto:
Że wiara dla Augusta powinna być świętą,
Że trzeba obwarować klasztorne zapory,
Zlokować tam żywności, broni zapas spory,
I według Czarnickiego w wyprawach zwyczaju,
Trapić podjazdy Szweda, pokąd umknie z kraju.

OBRAZEK 4.

Ledwo kilka miesięcy od uczty minęło,
Ileż klęsk, ile nieszczęść na kraj się spiknęło!
Orzeł szwedzki rozpuścił szeroko zagony,
W serca Polski i Litwy wpoił ostre szpony,
I szarpał ich wnętrzności, wysysał krew' drogą,
Niszcząc kraj rabunkami, mordem i pożogą;
A będąc tych nadużyć najzaciętszym sprawcą,
Kazał się tytułować Polski, Litwy zbawcą!

August w kilku potyczkach przez Szweda zwalczony,
Zrzec się berła, korony polskiéj był zmuszony;

A pragnąc zabezpieczyć swe dziedziczne kraje,
Skwapliwie na najcięższe warunki przystaje.
Już Stanisław Leszczyński na tronie zasiada,
Silną dłonią koronę Piastów na skroń wkłada.
Gwiazdę Augusta zda się przeciwność zamgliła,—
Lecz szczęściem że stronników liczył w kraju siła:
Ci, choć słabi w zasoby, lecz stali w przysiędze,
Ufają swojéj sprawy niezłomnéj potędze.

Ciche mury klasztoru wyznawców Lojoli,
Półkownik szwedzki Gustaw Krejtz wojskiem okoli,—
I od trzech już miesięcy do kościelnéj wieży
Ciskając straszne groty, postrach w koło szerzy.
Lecz próżno spiż rozżarta strzały śmierci mnoży,
Próżno Szwed szturmy wiedzie,—bo przybytek boży,
Jak opoka wśród morza, niewzruszony stoi!
Upór w obronie murów zaciekłość w nim dwoi.
Oto kiedy na puszczy zgłodniała tygrzyca,
Zda się, że słabą zdobycz tuż w szpony pochwyca,

A tymczasem ta zdobycz trafem się wymyka
Z pośród ostrych pazurów swego przeciwnika;—
Próżno zwierz rozjuszony rykiem piersi trudzi,
Echo je powtarzając czujność tylko budzi.

Lecz zajrzyjmy do murów,—co też tam się dzieje?
Jakże srogie garnizon wycierpiał koleje!
Z tysiąca wojowników, co zgodnemi głosy
Przysięgli dzielić wspólnie dobre i złe losy,
Ledwo się pozostało pięćset dzielnéj młodzi,
Na której życie codzień wróg zacięty godzi.
To są hufce starosty i podkomorzego;—
Ci tu jedni bronią praw Augusta drugiego,
Bo podczaszy i skarbnik, z namowy prymasa,
Wymknęli się z klasztoru,—opuścili Sasa.

Podkomorzy wprzód objął przewództwo komendy,
Najstarszemu w powiecie należą te względy;—

I nieźle się obrona wiodła w piérwszéj chwili,
Pokąd wspólnemi siły najeźdźcę trapili;—
Lecz gdy się między hufce wcisnęła niezgoda,
Gdy wśród zaciętéj walki ten i ów tył poda,
Kiedy dla własnych wygód, jako podłe zbiegi,
Niektórzy opuścili swych znaków szeregi,
Kiedy wróg gęsto spiże do koła ustawił,
I ciągłemi wystrzały niejedną tam sprawił
Szczerbę w klasztornym murze, w obrońców gromadzie,—
Częste wycieczki czynić, stanęło na radzie.

Otoż w jednéj z takowych zacny podkomorzy
Przewodząc dzielnéj młodzi, gdy zapęd przysporzy,
Rąbiąc się z przeciwnikiem, srogo w ramię cięty,
Byłby poległ na miejscu lub w niewolę wzięty;—
Lecz w téj chwili młodzieniec, znany nam Doliwa,
Niebezpiecznie rannego piersią swą zakrywa,
I nieliczny swój hufiec do koła zgromadza,
Nieprzytomnego wodza z pola uprowadza.

Starosta wziął dowództwo,—a do walki skory,
Niszczył sypane wroga szańce i zapory,—
I przez różne fortele często się udało
Wprowadzić do klasztoru żywności niemało.
We wszystkich tych imprezach tarczą i ramieniem
Był mu przebiegły Szczuka;—on, pod nocy cieniem,
Nieraz czujnego Szweda wycieczką kłamaną
Odwiódł w przeciwną stronę, gdy z naładowaną
Ogromną bryką szlachta, nie znajdując tamy,
Bez obawy wjeżdżała do klasztornéj bramy.

Lecz raz się nie udały podobne fortele:—
Kiedy przebiegły Szczuka, ufając zbyt wiele
W plan przez się ułożony, przywodców zgromadza,
I, by uderzyć z tyłu na Szwedów, doradza,
Gdy on z częścią młodzieży mylny alarm zbroi;—
Wrog, we dwa ognie wzięty kroku nie dostoi.
Tak stanęło na radzie,—Bóg zrządził inaczéj,
Snadź pragnął dać naukę odwadze junaczéj.

Oto Szwed ostrzeżony czujnemi przeszpiegi,
Srodze, niestety! zmylił doradcy zabiegi:—
Bo gdy dwa hufce bramę w cichości przekroczą,
Wnet Sudermana siły zuchwałych osoczą,
I pocznie się rzeź straszna z téj i owéj strony,
Gdy na dziarskim bachmacie Gustaw Krejtz spieniony,
Przypadnie do mężnego Szczuki w chybkim locie,
Który, walcząc zajadle, myślał o odwrócie,—
I spojrzą na się groźno dwaj waleczni męże,
I uderzą z impetem krzyżując oręże,
A z oczu skry im lecą, piana z ust się toczy,
Nie czują, że odzieże krew' ich własna broczy.

Tak w odludnéj pustyni dwa dzikie bawoły,
Rozjśzone uderzą na siebie pospoły,
Choć sierć kłakami leci,—krew' strugą z ran płynie,
One walczą, dopokąd jeden z nich nie zginie,
A choć słabszy już gryzie ziemię, rozciąginęty,
Nogami go tratuje zwyciężca zawzięty.

Drugi hufiec starosta prowadził w omroku,
Doliwa go pilnował, jak źrenicy w oku!
Gdy rotmistrz Skandynawów Lars przybyłych zoczy
I nawałem żołdactwa do koła otoczy.
Spostrzegłszy się starosta, że odwrót przecięty,
Chcąc drogo przedać życie, wszczyna bój zawzięty;—
Obok dzielny młodzieniec, przez Wandalów party,
Rzuca razy na oślep, jak tygrys rozżarty,
A w którą tylko stronę oręż jego błyśnie,
Posoka, jak z fontanny, z cielska Szweda tryśnie!

W tém do boku starosty srogi Lars przypada,
I w ubieloną wiekiem głowę cięcie zada;
A choć ten podniósł oręż dla odparcia ciosu,
Wszakże zgubnego dla się nie uniknął losu.

Upada dzielny starzec, jak wzniosła topola,
I krwią się zarumieni jego własna rola;—

Gdy zajadły zwycięzca, chcąc zemście dogodzić,
Wznosi miecz, by w odkrytą głowę znów ugodzić.
Lecz uwolniony młodzian z pośród walk natłoku,
Widzi upadek starca,—przypada do boku,
I własnemi piersiami rannego zasłania,
I zwycięzcę do nowéj z sobą walki skłania.

Natarli na się męże, jak burzy nawała,—
Od chrzęstu twardéj stali aż ziemia zadrżała;—
Każdy z nich śledząc wroga wytęża swe ramię,
To cofnie, to wprzód poda, mylny napad kłamie;
Aż zdziwieni z stron obu, zaprzestają boju,
I tylko liczą razy, w strogim niepokoju.
Każdy za swym przywódcą modlitwę podnosi,—
Ciekawi kto z walczących zwycięstwo ogłosi.
Widzi mężny Doliwa, że wróg siły traci,
Podwaja więc usilność,—z lichwą cięcia płaci,—
I gdy Lars stal podnosi, w rachubie zmylony,
Sądząc, że raz odbija w głowę wymierzony,

Przeciwnik, używając zmiennego fortelu,
Po rękojeść miecz topi w swym nieprzyjacielu.
I upada mąż dzielny, jako dąb odwieczny,
I upuszcza z prawicy miecz swój obosieczny.

Tymczasem gdy młodzieńce toczą bój zażarty,
Do rannego starosty przystęp stał otwarty,—
I wierna sług drużyna z ziemi go podnosi,
Unosząc z pola walki, postrach w koło głosi.—
Przyjmują drogi ciężar klasztorne podwoje,—
Nad łożem starca córka łez wylewa zdroje,
A bolejąc nad ojcem, rozpacz w sercu dwoi,
Bo się o los kochanka srodze niepokoi.

Lecz młodzian po zwycięstwie gdy wzrokiem dośledzi
Zamieszania w szeregach struchlałéj gawiedzi,
Natychmiast chce skorzystać z zmitrężenia Szweda;—
Zwołuje więc współbraci—i mężna czereda

Idąc za swym przywódcą, pomścić braci rada,
Jak uragan burzliwy na zmieszanych wpada,—
A gdy w ich silnych dłoniach szabelki zaświecą,
Struchlałych Szwedów głowy jak makówki lecą...

Pierzchnął zastęp najezdców, jak stado lękliwe.
Młodzian, niesyt zwycięstwa, na tych groty mściwe
Niesie, co pod dowódcą osoczyli Szczukę,
On pragnie i tym sprawić porządną naukę.
Jakoż, dopadłszy wodza, wnet z nim oręż mierzy,
Rani go, i na innych jako grom uderzy.
Próżno wytęża siły Gustaw rozjuszony,
On, przemocą swych braci z pola uwiedziony,
Klnąc niefortunne losy, do obozu wraca,
Straconą bitwę gniewem podwładnym odpłaca.

Czemu mężny Doliwa łzami oko mroczy?
Czyżto mu laur zwycięski skroń do ziemi tłoczy,

Że z głową pochyloną przewodniczy znakom?
Bo też drogo kosztuje zwycięstwo Polakom!
Oto waleczny Szczuka dług ojczyźnie spłacił,—
Na polu chwały życie pełne cnot utracił;—
Tam na łożu boleści rodzic ukochanéj
Pasuje się ze śmiercią w męce niezrównanéj.
Wraca więc do klasztoru, uchyliwszy czoła,—
Kiedy go przed starostę dworzanin powoła.

Z niepokojem na duszy przed dowódcą staje,
Ze zwycięstw odniesionych sprawę mu oddaje;
A choć dzielnego starca zbyt dolega rana,
Jednak go rozweseli tak znaczna wygrana.

»Nie mam słów, bym ci godnie podziękę wynurzył,
Ześ mnie, żeś swéj ojczyźnie tak dzielnie usłużył!
Ja ci życie zawdzięczam, kraj chlubne zwycięstwo,—
Nie wiem czém mam nagrodzić bohatérskie męstwo?

Lecz żeś wroga zgniótł dumę, to jeszcze zbyt mało:
Wiele ci dla ojczyzny czynić pozostało!
Każdego tutaj oczy na ciebie zwrócone,—
I jednogłośnie wszyscy klasztoru obronę,
Swych rodzin, swego mienia tobie powierzają,
Pod dzielne twe dowództwo garnizon oddają.
Broń więc twierdzy, twórz chlubne dla kraju zwycięstwa,
A nagrodę wynajdę godną twego męstwa!«

Tak przemawia starosta, patrząc na swe dziecię,
Której rumieniec wstydu twarz nadobną gniecie;—
Lecz mimo zmitrężenia, udatna dziewica,
Rozpromieniając szczęściem anielskie swe lica,
Do pięknego zwycięzcy wyszepce te słowa:—
»Wolę mego rodzica jam spełnić gotowa,
A zwłaszcza gdy ta zgodną jest z serca wyborem:
Postępuj tylko nadal tak chwalebnym torem.
A kiedy nas wybawisz ze strapień ogrojca,
Serce moje dowiedzie, żem pojęła ojca.

Gdym ciebie mym rycerzem śród innych wybrała,
Że chlubę mi przyniesiesz, jużem przeczuwała!»

Młodzieniec zachwycony takiemi wyrazy,
Tworząc w swéj głowie słodkie na przyszłość obrazy,
Przed szlachetną dziewicą na kolana pada,
Poprzysięga, że z czynów jego będzie rada:—
Jeżeli prawość, męstwo chcą dziś mieć na względzie,
Ona z wyboru swego pewno dumną będzie.

Podkomorzy też zasię daje głos życzliwy,—
Ale ojciec zwycięzcy, Doliwa szczęśliwy!
Rosząc wąs mlecznéj barwy łzami rozrzewnienia,
Przemawia do obecnych:—»Na ten znak zbawienia
Przysięgam! *moj paneńku*, te zbytnie pochwały
Mogą zepsuć mi chłopca;—wszakże żywot cały
Poświęcić dla ojczyzny, dla dobrego pana,
Święty to obowiązek zacnego młodziana!
Lecz kiedy, *moj paneńku*, zrządziły tak losy,
Że przewodzić dziś mają swym ojcom młokosy,

Będę słuchał rozkazów twoich bez szemrania,
Tylkoż patrz, *mój paneńku*, nie zdradź zaufania!
Jeśliby ci wypadło i głową nałożyć,
Zgon chwalebny mężnego niepowinien trwożyć!»
Tak gerając staruszek zbytnie się rozczuli,
I klęczącego syna do serca przytuli;
A generał zakonu wyznawców Lojoli
Młodzieńczą skroń pobożnie krzyżykiem okoli.

* *
*

Leje ciepło wiosenka na Litwy zagony,
I natura, zrzuciwszy śniegowe obsłony,
Wdziała zieloną szatę, upstrzoną kwiatami,
Rzeźwy zefir młodemi szeleszcze gajami,—
Cały świat nowém życiem oddycha, rozkoszą,
Dzieci Polski swą ziemię tylko łzami roszą!
Bóg, pragnąc ją ukarać, zesłał ciężkie lata,
Synom jéj odjął rozum, tak, że brat na brata
Czyhał, jakby na wroga, w téj domowéj wojnie,
Nikt we własnéj zagrodzie żyć nie mógł spokojnie.

Garnizonowi twierdzy nieciekawie idzie;—
Gdyby nie czujność wodza, dawnoby w ohydzie
Przypadło znosić szwedzką niewolę bezkarnie,
Lub, co gorsza! w męczarniach życie stracić marnie!
Młody wódz gdy z nadludzkiéj szczycąc się odwagi,
Rozżartym Sudermanom wciąż zadaje plagi,
Gdy w boju im niemało żołnierza ubywa,
Jak na złość, tego licha kupami napływa;—
A obrońców klasztoru coraz się umniejsza,
Ciężko się czuje strata, choć walka najlżejsza.

Uporczywą obroną Gustaw Krejtz zrażony,
Ściśléj obległ do koła klasztorne zagony;
Lecz pomimo czat silnych, jakie tam osadził,
Nieraz go podszedł młodzian i żywność wprowadził.
Ale gdy ciężkie działa przyszły szturmującym,
I rzygnęły pociski głosem straszno grzmiącym,
W końcu tak słaba twierdza, jak mury klasztoru,
Zmienićby się musiała w stos gruzów bez sporu:—

Stanęło więc na radzie, by z brzaskiem jutrzenki,
Dzielny wódz zebrał w koło zastęp swój maleńki,
A umieściwszy w środku niewiasty i starce,
Przebił się między Szwedy, czyniąc mężne harce.
Wezwano również zakon, by losy podzielił,
Lecz opuścić świątyni ten się nie ośmielił.

Prowincjał Jezuitów, z ojcem Retoryką,
Lękając się rabunku przez hołotę dziką,
Wszystkie kościelne skarby w lochach zakopali,
I najświętszą przysięgą wspólnie się związali,
Że prędzéj swoje głowy katom pod miecz dadzą,
Niźli zaprzysiężony sekret płocho zdradzą.

Nadszedł dzień wiekopomny klasztoru ruiny,
Dzień, w którym osiągnęli męczeństwa wawrzyny
Swięci ojcowie:—oni, w krajowéj potrzebie,
Oddali na ofiarę swe gniazdo i siebie!

I na stopniach ołtarza, gdy nastała trwoga,
Składali pod miecz głowy, modląc się za wroga.

Rozkoszną woń do koła jutrzenka rozwiewa,
Z brzaskiem jéj hymn dziękczynny wszystko Twórcy śpiewa,
I gdy piérwszym promieniem z po za gór wystrzeli,
Zbudzony ptak urckiem wiosny się weseli.
Któż to w ogrodzie mnichów ciszę ranka kłóci,
I wtórując na arfie, tkliwą piosnkę nóci?
Wszakto głos Władysława,—on, w stanowczéj chwili,
Chcąc pomówić z kochanką, na dobry dzień kwili.

Pieśń Władysława Doliwy.

Dobry dzień tobie, o ma ulubiona!
Już promyk słonka z za chmur się przedziera,
Już pękła nocy szarawa obsłona,
I na świat boży jutrzenka spoziera:
A ty, w przymierzu z miłością i cnotą,
Bezpieczna we śnie, o moja pieszczoto!

Dobry dzień tobie, czarujący kwiecie!
Nie bój się,—skwar cię słoneczny nie spali,
On jest szkodliwy, lecz w upalném lecie:—
Zbudź się aniołku! patrz!—już inni wstali,
A Ty, mój śpioszku! rozmarzona we śnie,
Pieścisz się, myśląc, że jescze zbyt wcześnie.

Dobry dzień tobie,—spojrzyj!—zwiastun wiosny,
Poważny bocian jutrznię światu dzwoni,
A w harmonii chór ptasząt radosny,
Dziękczynném pieniem wprost do niebios goni;—
Że ty śpisz jeszcze, jakże wielka szkoda!
Nie wiesz jak piękna w téj chwili przyroda!

Wstawaj, o luba! już liśćmi szamoce
Zefir, kochanek czarownéj wiosenki;
Już po nad ziemią wesoło szczebioce
Modlitwę Stwórcy skowronek maleńki:
Zbudź się Lucysiu! zbyt drogie są chwile!
Może wieczorem zaśniemy w mogile? ,. . «

* *
*

Tu echo go przedrzeźni, wciąż głosząc ... w mogile!
Następnie błogiéj ciszy uroczyste chwile
Zamąci głos z kościoła wzniosły, bogobojny:—
»Od powietrza i głodu, od ognia i wojny!«
I młodzieniec, wraz z ludem, korząc się przed Bogiem,
Odpowie:—zbaw nas Panie! w utrapieniu srogiém!—
Drgnęła wreszcie firanka u klasztornéj kraty,
Otwarło się okienko dziewiczéj komnaty,
I z uśmiechem, którego zazdroszczą anieli,
Ukaże się lubemu, w skromnym rąbku z bieli,
Nasza piękna Lucysia,—świeża, jak jutrzenka!
I chustką znak mu dając, wzywa do okienka.

»Dobry dzień ci, mój łuby! cożtak rano wstałeś?
A może, strzegąc twierdzy, chwilki nie zdrzémałeś?
Och! ty siebie zabijasz niewczasy i trudem;—
Przez twą nadludzką czujność, jakby boskim cudem!
Dotąd w szwedzkiéj niewoli kajdan nie dźwigamy,
Nasze życie, nasz honor tobie zawdzięczamy!

Wiem, wiem, co masz powiedzieć!—tak ci przynależy,
Bronić kraju, praw słabych,—to godło rycerzy!
Aleś ty bohaterem! dzięki niebu składam,
Że tak mężne, szlachetne serce twe posiadam.
Nadszedł więc dzień stanowczy! dzielne wojowniki
Chcą się przebić przez liczne Sudermana szyki:—
Garstka mała,—lecz z takim przewódcą na czele,
Że dopnie swego celu, przepowiadam śmiele.
Ale ja się obawiam o dni twoje drogie;—
Ach! jeśli nas rozdzieli przeznaczenie srogie,
Przysięgam ci, mój luby! że w mniszym habicie,
Modląc się za twą duszę, zakończę me życie!
A teraz do widzenia:—kiedy dzwonów głosy
Wezwą lud do modlitwy,—dzielić wspolne losy
Przybędę, z rannym ojcem, do zachodniej bramy,
Tam,—może raz ostatni!—jeszcze się spotkamy...«
Tak przemawia dziewica do swego rycerza,
I kryjąc łzy obfite, w głąb' komnaty zmierza.

Ryknęły straszne śpiże piorunnemi głosy,
I plunęły z swych paszczy ognistemi kłosy;—
Jak brzemienne płomieńmi na niebiosach chmury,
Grad kul obsłonił wieżę i klasztorne mury,—
I runęła z swych posad odwieczna wieżyca,
I aż jękła od huku cała okolica;—
A w przerwach słychać mnichów śpiew wzniosły, kościelny:
»Święty Boże i mocny! święty nieśmiertelny!«

Bombardować poczęto od wschodu klasztoru
Gdy przy zachodniéj bramie, wprost starosty dworu,
Stanęła mała garstka,—trzysta wojownika,
Spokojna, tak dzielnego mając przewodnika;—
A we środku oddziału ranni, białogłowy,
Myślą się polecają opiece Jehowy.

Ksiądz prowincjał w ornacie, na czole z pogodą
Błogosławi tam wiernym poświęconą wodą;

Gdy tymczasem od strzałów jeden, drugi padnie,—
Cóż za dziw!—w ciasném miejscu cios uderzy snadnie;—
Nim zaś nabiją działa, głos z kościoła leci:
»*A światłość wiekuista poległym niech świeci!*«
Na znak wycieczki w bębny razem uderzono,
I natychmiast zachodnią bramę otworzono:—
Wypada oddział straszny, jak burza skrzydlata!
I co tylko w swéj drodze napotka—wraz zmiata!
Na czele, jak bóg wojny, młodzian dziwy tworzy,
Gdzie tylko mieczem błyśnie, kupa z cielsk się mnoży!

A tymczasem od wschodu Gustaw Krejtz zdziwiony,
Nie widząc z murów twierdzy najmniejszéj obrony,
Wpadł do środka klasztoru na czele swych znaków,
I zdumiał się, nie widząc ni śladu Polaków.
Tylko w samym kościele: «Pod Twoję obronę!«
Śpiewa zakon, przyjmując męczeńską koronę.

W minucie grube mury w stos gruzów zmieniono,
Wszystkich pobożnych mnichów srodze umęczono,
Zwłaszcza gdy ci nie chcieli wydać skarb kościoła.

I dzisiaj, gdzie był klasztor, rosną dzikie zioła,
A gdzie przybytek boży, tam wądół,—kamienie . . .
Zmówmyż za dusze mnichów wieczne odpocznienie!—
Jaka zaś młodą parę spotkała przygoda,
O tém, choć w krótkiej treści epilog wam poda.

EPILOG.

Ziemio moja ojczysta! ziemio sercu droga!
Ileś ty ucierpiała od swoich i wroga!
Gdy gniotę twą murawę stopą świętokradzką,
Lub przebiegam zagony z swawolą junacką,
Nieraz uczuje trwogę bolejące serce,
Że twe święte pamiątki depczę w poniewierce!

Często, siedząc na ganku, gdy wzrok mój utopię
W samo wnętrze wądołu,—kiedy myślą tropię

Czyny władców téj ziemi, tak wzniosłe, tak święte!
I owe Sudermana napady zawzięte,—
Dzielną obronę garstki téj ziemicy synów,—
Mężnego Władysława tyle świetnych czynów!
I, jak mówi podanie,—owę to nagrodę,
W otrzymaniu bogatéj w cnoty i urodę,
A również w znaczne mienie uroczéj dziewicy,—
Jak późniéj,—szanowani w całéj okolicy,
Co mówię?—w Polsce, Litwie,—długo z sobą żyli,
Poczciwych synów, wnuków, prawnuków spłodzili; . . .

d. 13 maja 1857 roku

LUCYNKA.

KONIEC.

Omyłki

Str:	wiersz	druk	czytać
8.	6	dobru	dobra
16	18	partów	parlów
28	8	spliwa	spływa
28	14	życia:	życia
71.	14	u Rozjsrone	Rozjuszone
77	5.	powsrzaja	powsrzają
79	5	gerając	gderając
86	16.	pegodą	pogodą

70
31.
10.